

Fragment utworu w przekładzie

Andrea Böhm
Fighting Like a Woman.
Die Geschichte der Frauen, die zurückschlagen

Rowohlt Verlag, Hamburg 2026
ISBN 978-3-498-00397-5

Str. 5-23

Andrea Böhm
Fighting Like a Woman.
Historia kobiet, które oddają ciosy

Przekład: Justyna Drobkiewicz



SPIS TREŚCI

Przedmowa

Kick Queen z Bejrutu

Rozdział 1

O pojawianiu się i znikaniu kobiet, które walczą

Rozdział 2

Jiu-jitsu dla świętej wojny

Rozdział 3

Tata poluje na tygrysa szablozębnego, mama sprząta jaskinię

Rozdział 4

Universis i „sześć stóp niemieckiej brutalności”

Rozdział 5

Dirty Care – życie w kulturze gwałtu

Rozdział 6

Kobieta z głową w dłoniach

Rozdział 7

Angie i latające kolano – kiedy mężczyzna staje się wojowniczką

Rozdział 8

Krótki sierpowy, długie nogi

Rozdział 9

Brad Pitt i mężczyźni w klatce

Rozdział 10

Gniew, który wyzwala

Posłowie

Podziękowania

Bibliografia

Źródła 253

Spis ilustracji 272

Przedmowa

„Kick Queen” z Bejrutu

Impulsem do napisania tej książki było kopnięcie wymierzone przez kobietę w krocze mężczyzny. Wydarzyło się to 17 października 2019 roku w Bejrucie, podczas masowych protestów przeciw korupcji i nepotyzmowi. Kiedy konwój jednego z ministrów utknął w tłumie demonstrantów, ochroniarz wysiadł z samochodu i oddał strzały ostrzegawcze w powietrze. Wtedy z tłumu wyszła drobna, szczupła kobieta, ugięła lewą nogę i z pełną precyzją kopnęła go w czułe miejsce.

Dziesiątki osób uwieczniły tę scenę na zdjęciach i nagraniach. Kilka godzin później demonstrantka została w mediach społecznościowych okrzyknięta „Kick Queen”, kopiącą królową, i bohaterką protestów. Jej wizerunek pojawił się jako graffiti na murach, a zdjęcia i filmy z nią obieżyły internet. Pobrałam jedno z tych zdjęć i wpatrywałam się w nie raz po raz, coraz bardziej nie dowierzając własnym oczom. Miejsce, czas i polityczny kontekst zaczęły się zacierać. Pozostały kontury nieuzbrojonej kobiety, która z pełną siłą i determinacją atakuje wyraźnie większego, uzbrojonego mężczyznę.

Obrazy przemocy wstrząsają poprzez ukazanie brutalności i upokorzenia, a więc miażdżącej przewagi prawnej, zbrojnej czy fizycznej, silniejszych nad słabszymi. Obraz z Bejrutu poruszył mnie i zafascynował, ponieważ zachwiał jednym z fundamentów nowożytnej historii: męskim monopolem na przemoc fizyczną.

Żyjemy w XXI wieku: na ekranach kin superbohaterki pokonują złoczyńców, kobiety rywalizują we wszystkich dyscyplinach sportów walki, a żołnierki walczą na froncie. A jednak Wonder Woman, olimpijskie bokserki czy pilotki bombowców niewiele zmieniły w przekonaniu, że w walce o równość płci istnieją dwie pozornie niewzruszone prawdy: fizyczna przewaga mężczyzn nad kobietami oraz większa skłonność mężczyzn do agresji. Obok zdolności rodzenia dzieci są to podstawowe kryteria podziału ludzi na dwie płcie. Tylko zdolność do rodzenia ma charakter biologiczny, a jednak wszystkie trzy do dziś traktowane są jako „prawa natury”. To właśnie na rzekomo naturalnej fizycznej przewadze i agresywności mężczyzn, przez stulecia sankcjonowanych religijnie i prawnie, opiera się męski monopol na przemoc. A on z kolei stanowi fundament każdej patriarchalnej władzy, przenikającej wszystkie inne społeczne hierarchie.

Zdjęcie kopiącej królowej z Bejrutu wisi nad moim biurkiem. Malak Alawiye, bo tak się nazywa, w chwili tamtej demonstracji miała trzydzieści dziewięć lat. Kilka tygodni później,

ubrana w białą suknię panny młodej, celebrowała pośród protestujących swoje wesele. Cztery miesiące później wszczęto przeciwko niej postępowanie przed sądem wojskowym za naruszenie nietykalności cielesnej i znieważenie funkcjonariusza. Sprawa rozmyła się jednak w politycznym chaosie kolejnych lat.

Za każdym razem, gdy patrzyłam na to zdjęcie, myślałam: droga Malak, a co jeśli twój obraz stanie się wzorem? Co jeśli to „prawo natury” okaże się złudzeniem, konstruktem społecznym i także ten filar patriarchy zacznie się kruszyć? Co jeśli kobiety same sięgną po prawo do przemocy? I co, jeśli zrobią to w odwecie?

Wtedy zrozumiałam, że coś przeoczyłam.

To zdumiewające, jak krótki przeblysł w codziennym strumieniu wiadomości potrafi wyostrzyć spojrzenie. Im dłużej zastanawiałam się nad tymi pytaniami, tym więcej pojawiało się przede mną innych „Kick Queens”: sufrażystek z początku XX wieku, propagujących „fizyczny feminizm”; pięściarek walczących publicznie z mężczyznami w Europie początku XVIII wieku; brygady dziewiarek podczas Rewolucji Francuskiej domagającej się prawa do noszenia broni; buddyjskich mniszek, które miały stworzyć sztukę walki przeznaczoną specjalnie dla kobiet; obywatelskiej straży kobiet w Indiach, bijącej gwałcicieli.

Im więcej prowadziłam badań, tym bardziej globalnym i powszechnym zjawiskiem wydawały mi się kobiety walczące i domagające się prawa do użycia siły. Materiału na serię portretów kobiecych Dawidów walczących z męskimi Goliatami szybko zebrało się aż nadto. Ale taka książka byłaby nudna. I fałszowałaby historię. Bo pojedynczym opowieściom o kobietach, które oddają ciosy, atakują, chwytają za broń, ranią czy zabijają, a więc choćby na chwilę przejmują fizyczną władzę, zawsze towarzyszy aura egzotyki i wyjątkowości. „Efekt Joanny d’Arc”.

Kobiety, o których piszę w tej książce, nie są wyjątkami od reguły ani wybrykami natury. Ich decyzje o użyciu przemocy odzwierciedlają społeczne przemiany, w których przesuwają się granice płci. To stwierdzenie faktu, nie ocena. Patriarchalne społeczeństwa są przestrzeniami przemocy, w których ludzi, przede wszystkim kobiety, sprowadza się do roli służebnej. Ale nigdy nie wyznaczają wyraźnej granicy między uciskającymi a uciskanymi. Gdy kobiety stosują przemoc w ramach patriarchalnych struktur, kontekst bywa ambiwalentny, czasem wręcz niepokojący. Wiele białych amerykańskich feministek końca XIX wieku uzasadniało prawo do samoobrony rasistowskim stereotypem seksualnie agresywnych czarnych mężczyzn. Indyjska straż obywatelska stosuje samosądy. W świecie MMA czołowe zawodniczki bywają zawłaszczane przez ruchy skrajnej prawicy.

O tych sprzecznościach także będzie mowa. Nie zmieniają one jednak faktu, że w historii patriarchatu zadziwiająco wiele kobiet sprzeciwiało się „prawu natury” mówiącemu o męskiej przewadze fizycznej, i że dziś robi to więcej kobiet niż kiedykolwiek wcześniej. Często zresztą przy wsparciu mężczyzn.

Historia stosujących przemoc kobiet niemal nigdy nie została opowiedziana. Została wymazana. W mediach, nauce i debacie publicznej. A przecież „stosowanie przemocy” nie oznacza tutaj używania fizycznego przymusu wobec słabszych, lecz opór wobec niego i jego politycznych konsekwencji.

Zaskakujące jest również to, że nawet wielkie feministyczne teoretyczki rzadko kwestionowały męski monopol na przemoc. Teoria polityczna od zawsze zachowywała dystans wobec cielesności. Przemoc traktowano przede wszystkim jako zjawisko abstrakcyjne lub zbiorowe, jako wyraz układu sił w obrębie polityki. Gdy w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku wraz z drugą falą feminizmu, sfera prywatna została upolityczniona, feministki skierowały uwagę na kobiece ciało. Jednak postrzegały je głównie jako dowód patriarchalnej opresji stale zagrożone, ranione, okaleczane, upokarzane lub zabijane przez gwałt, przemoc seksualną, pornografię, ideały piękna, zakazy aborcji, gorszą opiekę zdrowotną, przemoc domową czy przymusowe małżeństwa. Znacznie rzadziej kobiece ciało pojawiało się jako ciało zdolne do oporu, buntujące się, okazujące gniew i agresję, a więc cechy tradycyjnie przypisywane mężczyznom.

W pierwszej fali ruchu kobiecego było inaczej. Wówczas rozbrzmiewały hasła: „Każda kobieta jest własną obrończynią” albo „To niekobiece pozwolić się obezwładnić”. Ten fizyczny feminizm powrócił w drugiej połowie XX wieku, początkowo jednak tylko na marginesach ruchu. Spotykał się przy tym z dezaprobatą tych aktywistek, które pokojowe usposobienie kobiet i niestosowanie przemocy uważały za cnoty polityczne wymierzone przeciw patriarchy. Za tym sporem kryje się pytanie szczególnie bolesne dla feministek mojego pokolenia. Przez dziesięciolecia piętnowałyśmy fakt, że kobiety nieustannie stają się ofiarami seksistowskiej przemocy. Dzięki temu przemoc ta została wreszcie napiętnowana. Ale czy skupienie się na statusie kobiety jako ofiary nie przyczyniło się zarazem do utrwalenia tego obrazu?

Ta książka nie jest apelem do czytelniczek, by natychmiast zapisały się na karate czy boks. Nie jest też apelem do czytelników, by stali się partnerami sparingowymi swoich partnerek, żon czy córek. To historyczne i geograficzne poszukiwanie kobiecej determinacji do fizycznej walki i przyjemności, jaka może się z nią wiązać. Poszukiwanie jawnego lub ukrytego,

czasem także błędnie ukierunkowanego oporu wobec mizoginicznej przemocy. Poszukiwanie kobiet i osób transpłciowych, które własnym ciałem przełamują męski monopol na agresję. Poszukiwanie mężczyzn, którzy się z nimi solidaryzują. I poszukiwanie odpowiedzi.

Dlaczego człowieka stosującego przemoc, niezależnie od płci, niemal zawsze opatruje się atrybutem męskości? Dlaczego osoby doświadczające przemocy, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, niemal zawsze symbolicznie się „feminizuje”?

Na kolejnych stronach będzie wiele bicia, kopania i strzelania. Oczywiście pojawią się także teorie, ideologie i debaty. Ale przede wszystkim będzie mowa o mięśniach, oddechu i głosie oraz o determinacji lub lęku przed zajmowaniem przestrzeni. O osobistych wspomnieniach przemocy, ucieczkach i stawianiu oporu. O tłumieniu i wybuchach gniewu. O poszerzaniu albo ograniczaniu własnej swobody ruchu. Francuska filozofka Elsa Dorlin nazywa to „archiwum ciała”. Archiwa ciał ludzi, z którymi rozmawiałam, stały się jednym z najważniejszych źródeł tej książki. I nie mogłam ignorować także własnego.

To nie jest ostrzeżenie o niepokojących czy drastycznych treściach. To jest zaproszenie na wyprawę odkrywczą. Z równym zaskoczeniem odkrywałam fascynację brytyjskich sufrażystek japońską sztuką walki jak i relacje o spoconej Marlene Dietrich na berlińskim ringu w latach dwudziestych XX wieku. Nie miałam pojęcia o kobiecej jednostce elitarnej pewnego zachodnioafrykańskiego królestwa, której żołnierki wzbudzały w europejskich wojskach większy strach niż mężczyźni. Nie wiedziałam też nic o roli *ladyboys*, transpłciowych kobiet w tajlandzkim boksie. I nie słyszałam również o *luchadoras* z meksykańskiego Ciudad Juárez, które w „mieście kobietobójstw” walczą o prawo do definiowania tego, jak postrzegane jest kobiece ciało.

Opowiadanie właśnie teraz odmiennej historii relacji przemocowych i cielesnych między kobietami i mężczyznami może wydawać się czymś oderwanym od rzeczywistości. Ta książka ukazuje się w samym środku globalnego i dramatycznego odwrotu od feminizmu i praw człowieka. Świadomość genderowa, małżeństwa osób tej samej płci czy prawo do aborcji stały się retorycznym orężem prawicowego dyskursu. Politycy wygrywają wybory, otwarcie odwołując się do mizoginii. W czasie, gdy pisałam tę książkę, Donald Trump, prawomocnie skazany za nadużycie seksualne, został ponownie wybrany na prezydenta USA. Prawicowi influencerzy propagują na forach internetowych gwałt na kobietach jako przywilej „prawdziwego” mężczyzny, generując przy tym miliony odsłon. Agresywna, urażona męskość, połączona z nacjonalistyczną narracją, nadal stanowi, bardziej niż kiedykolwiek, globalne zagrożenie. Szczególnie wstrząsającym przykładem jest rosyjska inwazja na Ukrainę

w 2022 roku, którą Władimir Putin krótko przed rozpoczęciem wojny zapowiedział za pomocą metafory gwałtu: „Będziesz musiała się podporządkować, moja piękna”.

Te regresy są niepokojące. Musiałam wielokrotnie przypominać sobie, że nie świadczą one o beznadziejności walki o równość płci, lecz są reakcją na jej sukcesy. Proces emancypacji kobiet i osób LGBTQ+ to prawdopodobnie największa rewolucja w najnowszej historii ludzkości. Nie przebiega jednak linearnie, bywa pełen zakrętów, prowadzi w ślepe uliczki, a jego dynamikę spowalniają wewnętrzne sprzeczności i kontruderzenia. Od celu, jakim jest społeczeństwo równości płci, wciąż jesteśmy daleko. A najnowsza negatywna reakcja zwrotna pokazuje, jak szybko można zniweczyć nawet pozornie trwałe zdobycze.

Zdecydowaną większość milionów zwolenników agresywnej, urażonej „manosfery” stanowią młodzi mężczyźni i chłopcy, którzy przenoszą tęsknotę za autorytarnym patriachatem w kolejne dekady.

Tym ważniejsze jest, że coraz więcej kobiet, a także mężczyzn, na całym świecie podważa ten fundament patriarchatu: przekonanie, że fizyczna przewaga i wynikająca z niej skłonność do agresji są wrodzonymi cechami mężczyzn, podczas gdy fizyczna słabość i skłonność do bierności mają być wrodzonymi cechami kobiet.

Moja podróż po śladach „fizycznego feminizmu” zaczyna się w bibliotekach i archiwach, gdzie szukam historii „kobiet zadających ciosy” z minionych stuleci. Stamtąd prowadzi mnie do Wielkiej Brytanii, Meksyku, Beninu w Afryce Zachodniej i Tajlandii. Na końcu trafiam do slumsów Nairobi oraz berlińskiej dzielnicy Kreuzberg. To jedne z wielu miejsc, gdzie ludzie zrozumieli, że przemoc patriarchalna nie wynika z niezmiennej, biologicznej przewagi, lecz z konstrukcji społecznej, którą można zmienić.

Dla mnie są to miejsca realistycznych utopii. Te miejsca nie są spokojne. Tam się boksuje, uprawia zapasy, krzyczy i walczy. Chłopcy uczą się tam, że agresja jest ludzka, a dominacja nad kobietami nie jest „męska”. Dziewczęta uczą się nie umniejszać się, a z pewnością siebie zajmować miejsce w świecie poprzez własne ciało.

Albo jak ujęły to feministki pierwszej generacji: uczą się, że „to niekobiece pozwolić się obezwładnić”.

ROZDZIAŁ 1

O pojawianiu się i znikaniu kobiet zadających ciosy

Miałam osiem lat, kiedy na Boże Narodzenie poprosiłam o rękawice bokserskie. Nie ma mowy – ucięła moja matka. – Już teraz wyglądasz jak tragarz. Zapisz się na balet! Wtedy postanowiłam chodzić po świecie jako chłopiec. Gardziłam spódnicami, lalkami i koleżankami z różowymi pamiątkami. Nosiłam krótkie włosy, marzyłam o karierze piłkarza w Bundeslidze i wyzywałam na bójkę każdego, kto nie chciał dopuścić dziewczyn do gry na boisku. Jeśli wygrałam, mogłam grać jako „Andi”. Jeśli przegrałam, spotykała mnie drwina. I może kilka minut na bramce, gdy nikomu już się nie chciało.

Moja matka szybko porzuciła pomysł baletu i pogodziła się z moim zachowaniem. Lepiej mieć córkę, która się bije, niż syna, który bawi się lalkami. Rękawic bokserskich jednak nigdy nie dostałam. Dziewczynki nie boksują – stwierdziła kategorycznie. I w pewnym sensie się z nią zgadzałam. W moich oczach przecież nią nie byłam.

Oczywiście nie zdawałam sobie sprawy, jaką prowokacją było moje pragnienie. W tamtych czasach, mówimy o późnych latach 60., uderzenie kogoś pięścią przez kobietę czy dziewczynę, ekspansywne zajmowanie miejsca własnym ciałem w świecie, było czymś nie do pomyślenia. I jeszcze długo tak pozostało.

Dobre dwie dekady później, kiedy miałam już zarówno rękawice bokserskie, jak i pogodziłam się ze swoją tożsamością płciową, z nadzieją sięgnęłam po jedną z najlepszych wówczas książek o boksie, napisaną przez zadeklarowaną feministkę. Jednak zamiast apelu o miejsce dla kobiet w sportach walki, przeczytałam pochwałę ciosu pięścią jako męskiego przywileju. Męskość mężczyzny, pisała w 1987 roku amerykańska pisarka Joyce Carol Oates w swoim esej *O boksie*, polega na używaniu własnego ciała „ale także na triumfie nad ciałem innego mężczyzny”. Głupota, pomyślałam, przecież to uczucie triumfu również znam.

Oates wierzyła w to, w co wówczas wierzyła większość: że natura wyposaża wyłącznie mężczyzn w agresywną cielesność, a zdolność i chęć walki są wpisane biologicznie, a nie ukształtowane kulturowo. To przekonanie trzyma się wyjątkowo mocno, mimo że dziś kobiety uprawiające boks zawodowy i MMA walczą w takich miejscach jak Madison Square Garden. Historię walki, czy to w wojsku, sporcie czy w pojedynku, wciąż opowiada się jako historię męską, od gladiatorów starożytnego Rzymu, przez turnieje rycerskie, po Muhammada Alego. W rzeczywistości jest to historia głównie mężczyzn, ale z udziałem wielu kobiet.

W bibliotekach natrafiłam na opowieści o gladiatorkach na rzymskich arenach i kobietach samurajach w feudalnej Japonii. W specjalistycznym czasopiśmie o sztukach walki znalazłam rysunki pojedynków sądowych w XV-wiecznych księstwach niemieckich. Strony sporu rozstrzygały o winie lub jego braku w walce z użyciem proc i maczug. Pojedynki te toczyły także kobiety przeciw mężczyznom oskarżanym przez nie o gwałt.

Dwie hobbystki zajmujące się historią, same pasjonatki sportów walki, zwróciły mi uwagę na kluczową rolę kobiet w buntach na statkach niewolniczych. W wojnach ludów rdzennych przeciw armii USA i białym osadnikom uczestniczyło znacznie więcej kobiet, niż długo zakładano.

Nad biurkiem powiesiłam zdjęcia tych kobiet obok bejruckiej „Kick Queen”. Rząd zdjęć stawał się coraz dłuższy, a wraz z nim narastało coraz bardziej oczywiste wrażenie: kobiety używały przemocy fizycznej z różnych, „właściwych” i „niewłaściwych” powodów.

Zaczęłam się zastanawiać: dlaczego społeczeństwa w pewnych, zwykle krótkich, epokach tolerowały tak ewidentne przekraczanie granic płci, a nawet je akceptowały, by następnie na długie okresy je piętnować, wypierać lub zakazywać?

Być może odpowiedź kryje się w historii jednej z największych europejskich legend boksu. Urodziła się pod koniec XVII albo na początku XVIII wieku. Nie zachował się żaden jej wizerunek, ale w książkach i gazetach pozostało wystarczająco wiele śladów, by spróbować przywrócić ją do życia.

Pojedynek na pięści w duecie mieszanym

23 czerwca 1722 roku w „London Journal” pojawia się ogłoszenie pewnej Elizabeth Wilkinson, w którym wyzywa ona przekupkę Hannah Hayfield na pojedynek: „Wyzywam ją dla satysfakcji, aby spotkała się ze mną na scenie i stoczyła walkę o trzy gwinee”.

Nie wiadomo, czy Wilkinson i Hayfield rzeczywiście pozostawały w konflikcie. Być może przekupka przechwalała się, że jest silniejsza od „mistrzyni Europy”. Tak wówczas nazywano Elizabeth Wilkinson.

Jej przeciwniczka odpowiada własnym ogłoszeniem, również opublikowanym w „London Journal”: „Ja, Hannah Hayfield z New Gate Market, przyjęłam do wiadomości determinację Elizabeth Wilkinson i z Bożą pomocą nie zawiodę, dostarczając jej więcej ciosów niż słów”.

Do walki ma dojść w Hockley-in-the-Hole.

Miejsce to cieszy się wówczas złą sławą: przy każdym deszczu tonie w błocie. Jest jednak również jedną z najbardziej uczęszczanych rozrywkowych przestrzeni Londynu. Znajduje się tam popularny londyński „bear garden”: połączenie ringu, karczmy pod gołym niebem i jarmarku.

W każdy poniedziałek i czwartek odbywa się tam „bear and bull baiting”, czyli szczucie niedźwiedzi i byków wyszkolonymi psami na ogrodzonej arenie. To widowisko, które rozpowszechniło się w epoce elżbietańskiej. Jego popularność nie słabnie, mimo że, a może

właśnie dlatego, zaledwie kilka lat wcześniej właściciela ogrodu rozszarpał jeden z niedźwiedzi.

Obok szczucia zwierząt program obejmuje również występy „mistrzów szlachetnej sztuki obrony”. Pojedyńki na gołe pięści nie są nowością, ale dopiero teraz przyciągają masową publiczność. Rękawice bokserskie jeszcze nie istnieją. Przeciwnicy walczą gołymi pięściami, czasem także krótkimi mieczami. W przerwach pomocnicy prowizorycznie zszywają rany cięte i rozdartą skórę.

Dwór królewski i Kościół patrzą na „bear gardens” z pogardą. Pijany tłum i jego fascynacja brutalną walką musi budzić niepokój władz. Mimo to na widowni mieszają się z ludem arystokraci, artyści i podróżnicy, rozdarci między odrazą a fascynacją tym „iście angielskim upodobaniem” do walk, jak zanotował to frankfurcki patrycjusz Zacharias Konrad von Uffenbach podczas swojej podróży po Anglii w 1710 roku. Szczególnie fascynuje go widok kobiet boksujących i fechtujących „bez gorsetu i w samej koszuli”. Wśród widzów można dostrzec pisarza Jonathana Swifta, poetę Alexandra Pope’a oraz niejednokrotnie malarza Williama Hogartha, który uwiecznia sceny z „bear garden” na swoich obrazach.

W miejscu, gdzie Elizabeth Wilkinson stoczyła kiedyś pojedynek z Hannah Hayfield o trzy gwinee, przy Ray Street w dzielnicy Clerkenwell, stoi dziś elegancka restauracja. Przy przegrzebkach z ręcznie robionymi ravioli w zupie z homara za 27 funtów można w wyobraźni odtworzyć moment, gdy Wilkinson zadała przeciwniczce pierwszy cios.

Według relacji „London Journal” obie kobiety walczyły prawie pół godziny „z wielką odwagą” i „ku niemałej satysfakcji widzów”. Pojedynek toczyły gołymi pięściami. Zgodnie z obowiązującymi zasadami zaciskały w dłoniach monety, by nie ulec pokusie podrapania przeciwniczki. Po kilku rundach knykie Wilkinson i Hayfield musiały być równie spuchnięte i zakrwawione jak ich twarze. Ostatecznie zwyciężczynią ogłoszono Wilkinson.

Przez kilka lat walczyła samotnie lub wraz z mężem, tworząc „duet mieszany”, który stawał przeciwko innym parom. Prasa nazywała ją „mistrzynią miasta i Europy” oraz „najpotężniejszą bohaterką Brytanii”. Najwyraźniej była równie popularna jak James Figg, założyciel pierwszej szkoły boks, fechtunku i walki na kije oraz najsłynniejszy męski zawodnik w ówczesnej Anglii.

Podobnie jak Figg, prawdopodobnie nie przegrała ani jednej walki. Żadne źródło nie odnotowuje jej porażki. Dorównywała mu również opanowaniem sztuki autopromocji.

Za zwycięstwo nad Ann Field, poganiaczką osłów, miała otrzymać dziesięć funtów, niebagatelną na tamte czasy nagrodę pieniężną. Porażkę swojej rywalki zapowiadała z butą, z

jaką 250 lat później robił to Muhammad Ali: „Ciosy, które jej zadam, będą mocniejsze niż wszystkie, jakie kiedykolwiek zadała swoim osłom”.

Jej ostatnia udokumentowana walka datowana jest na 7 października 1727 roku. Być może chciała odejść u szczytu kariery, a może jej ciało nie było już w stanie znosić dalszych pojedynków. W lipcu tego samego roku wystąpiła jeszcze wraz z mężem w „duecie mieszanym” przeciwko irlandzkiej parze. Nagroda w wysokości dwudziestu gwinei miała przypaść temu duetowi, który jak ogłoszono, zada „najwięcej ciosów i cięć” krótkim mieczem. Musiało tam dojść do obfitego rozlewu krwi, choć w archiwach nie zachowały się informacje o zwyciężcach.

Po tym czasie ślad po Elizabeth Wilkinson się urywa. Nic nie wiadomo o jej życiu ani przed karierą bokserską, ani po jej zakończeniu. O Figgu przez dziesięciolecia po śmierci pisano heroiczne poematy. Dziś uznaje się go za „ojca nowoczesnego boksu”, a w 1992 roku jego nazwisko trafiło do Międzynarodowej Galerii Sław Boksu w USA. O Wilkinson nie wiemy nawet, jak wyglądała.

Fakt, że kobiety w historiografii wielokrotnie wymazywane są z dziejów, jest dobrze znany. Ale dlaczego Elizabeth Wilkinson była przez lata tak entuzjastycznie opisywana? Dlaczego kobiece zawodniczki w „bear gardens” wydawały się czymś normalnym?

„Seks, bunt, przepych i nędza” – tak brytyjski historyk Jerry White opisuje Londyn XVIII wieku. Miasto kwitło i cuchnęło jednocześnie. Do centrum rozwijającego się imperium napływały coraz większe rzesze ludzi. Powstawały zarówno dzielnice willowe, jak i slumsy. Przemoc kryminalna mieszała się z oporem społecznym, a ulice roiły się od prostytutek. White opisuje je nie tylko jako ofiary, lecz także jako przedsiębiorcze kobiety, które wymykały się normie kobiecej seksualnej uległości.

W tych początkach rewolucji przemysłowej przestrzenie wolności otwierały się często z czystej konieczności. To ciężko pracujące fizycznie kobiety walczyły w „bear gardens”. Ich pseudonimy nierzadko nawiązywały do ich profesji: „boksująca kowalka”, „zadająca ciosy przekupka”, „walcząca poganiaczka osłów”. Londyn, miasto skrajności, był ich poligonem treningowym. Wejście do męskich zawodów, takich jak kowalstwo, wymagało zarówno słownej, jak i fizycznej gotowości do radzenia sobie z odpieraniem ataków i kwestionowaniem ich obecności w zawodzie. Walka na pięści, przy dopingu pijanej publiczności, mogła być dla boksującej kowalki po prostu mile widzianą odmianą. Kobiety były również w stanie ugruntować swoją pozycję jako zawodniczki, ponieważ „bear gardens” uchodziły w oczach wyższych warstw społecznych za miejsca zepsute i niemoralne.

Rzekomo niższe warstwy społeczne miały więcej swobody w igraniu z obyczajem i honorem. W oczach elit nie posiadały ani jednego, ani drugiego. Skoro więc motłoch, zarówno mężczyźni jak i kobiety, chciał się bić, niech się bije.

I tak też było, aż wyższe warstwy społeczne same odkryły boks. Pod koniec XVIII wieku w Wielkiej Brytanii walka na pięści zaczęła zrzucać z siebie wizerunek plebejskiej rozrywki. Dzikość tych widowisk ustępowała miejsca coraz bardziej uporządkowanym wydarzeniom z coraz bardziej dopracowanymi zasadami. Powstawały nowe hale z miejscami siedzącymi. Z „iście angielskiego upodobania do walki”, jak w 1710 roku stwierdził frankfurcki podróżnik Zacharias Konrad von Uffenbach, narodziła się brytyjska cnota, męska brytyjska cnota. Zgodnie z teorią socjologa Norberta Elias, który szczegółowo analizował rolę przemocy w społeczeństwach, byłby to klasyczny przykład cywilizującego wpływu sportu. Amerykańska autorka Malissa Smith, której badania doprowadziły mnie do Elizabeth Wilkinson, przedstawia jednak inną interpretację. Nie zaprzecza Eliasowi, ale odczytuje jego teorię z perspektywy feministycznej. Jej zdaniem bardziej przepuszczalne granice płci w „bear gardens” padły ofiarą polityki światowej. Po ośmiu latach wojny Imperium w 1783 roku utraciło swoje kolonie w Ameryce Północnej. Kiedy patriarchalne mocarstwa zaczynają odczuwać zagrożenie dla własnej pozycji i nietykalności, odruchowo rozwijają obsesję na punkcie narodowej męskości opartej na sile fizycznej.

Po porażce w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, brytyjskie media i politycy zaczęli wyrażać obawy o zdolność obronną Imperium w ogóle, a o sprawność bojową brytyjskiego mężczyzny w szczególności.

Boks, długo pogardzany jako rozrywka dla pospólstwa, stanowił teraz idealną płaszczyznę projekcji męskiej odwagi, a jako coraz bardziej regulowany, także „brytyjskiej uczciwości”. Walki kobiet są udokumentowane aż do końca XVIII wieku, ale coraz częściej krytykowano je jako afront wobec „prawdziwej kobiecości”. Rosnąca brytyjska klasa średnia narzucała normy płciowe, według których kobiety, w przeciwieństwie do mężczyzn, miały być fizycznie słabsze, ale silniejsze moralnie, a więc lepiej przystosowane do życia domowego niż do surowego, brudnego świata fabryk, biur i parlamentu. Idealna kobieta nadchodzącej epoki wiktoriańskiej miała być delikatna, wyrafinowana, wykształcona muzycznie, znająca się na rysunku i władająca językiem francuskim, jak również pozbawiona potrzeb seksualnych oraz fizycznej autonomii. Wraz z tym zmieniała się moda. W nowej sukni na stelażu, czyli krynolinie, kobieta nie mogła nawet podrapać się po kolanie.

Kobiety przestały być mile widziane na ringu. Za to coraz bardziej oczekiwano ich przy ringu. Z wojowniczką, jak pisze Smith, stała się „widzką, której rolą było podziwianie brytyjskiej męskości”.

W książce „Patriarchowie” o początkach męskiej dominacji, brytyjska dziennikarka naukowa Angela Saini idzie jeszcze dalej. Model patriarchalnej rodziny jako wzorzec państwa był w Europie już dawno obecny, ale Imperium Brytyjskie wdrażało go szczególnie konsekwentnie i eksportowało na cały świat. „Jeśli rodzina była pod kontrolą, jeśli każdy dokładnie przestrzegał norm płciowych, państwo było bezpieczne” – pisze Saini. Rosnąca klasa średnia miała tę wizję rodzinności ucieleśniać i przekazywać dalej. Dla bijących się bohaterów Brytanii nie było już miejsca.

Im więcej czytałam o zawodniczkach z „bear gardens”, tym bardziej znajoma wydawała mi się ta sceneria. Wrzeszczący tłum, alkohol i dym, krzykliwe zapowiedzi kolejnych walk, miałam wrażenie, że już to widziałam. I rzeczywiście widziałam. W nowoczesnej, amerykańskiej wersji „bear garden”.